



## Wokół suwerenności

II Rzeczpospolita była państwem niezwykle suwerennym. Ani III Rzesza, ani Związek Sowiecki nie były w stanie niczego jej dyktować. Była też krajem wzmoczonego nacjonalizmu budującego tożsamościowy stereotyp „Polaka katolika”. Zarazem jednak ani przez moment swego istnienia nie była krajem bezpiecznym. Jej koniec nastąpił błyskawicznie. Ze względów międzynarodowych i wewnętrznych nie była w stanie bronić swej niepodległości nawet przez kilka tygodni.

Dlaczego o tym warto pamiętać? Ponieważ mamy w tej chwili kolejny nawrót mocno tym razem udramatyzowanego dyskursu o potrzebie obrony zagrożonej rzekomo suwerenności Polski. Argumenty, po jakie się sięga, wskazują albo na głęboką nieznamość rzeczy, albo na silnie polityczną, doraźną motywację. Albo też jedno i drugie, na co wskazuje choćby porównywanie obecnej sytuacji Polski pod względem jej suwerenności do czasów, gdy była ona państwem niesuwerennym i wasalem Związku Sowieckiego (sic!). Nie ma tu miejsca na podręcznikowy czy nawet encyklopedyczny wywód na ten temat, ale wydaje się konieczne odniesienie się do niektórych przynajmniej argumentów, którymi się szermuje w „obronie” polskiej suwerenności.

Przykład II Rzeczypospolitej dobitnie wskazuje, że suwerenność trzeba widzieć w jej służebnym związku z takimi wartościami i potrzebami, jak bezpieczeństwo i tożsamość. Wstępując do Sojuszu Atlantyckiego, „ograniczyliśmy” swoją suwerenność w zamian za bezpieczeństwo Polski. Wchodząc do UE, podzieliiliśmy się suwerennością z innymi państwami Unii oraz jej organami, a to w imię naszego bezpieczeństwa, ale też rozwoju, który umacnia naszą tożsamość.

Wbrew głosom rzekomych „obrońców suwerenności” przynależność do Sojuszu Atlantyckiego oraz do Unii Europejskiej wzmacnia naszą suwerenność. Trzeba bowiem rozumieć, że suwerenność Polski (a także wielu innych krajów) jest ograniczana przede wszystkim przez postępującą globalizację, wobec której kraje rozmiarów Polski są zupełnie bezradne i stają się igraszką globalnych rynków oraz gry wielkich mocarstw. Dlatego przynależność do Unii Europejskiej nie osłabia, a wzmacnia naszą suwerenność, czyniąc nas podmiotem, a nie przedmiotem polityki międzynarodowej, tym samym broniąc nas i inne państwa członkowskie przed szkodliwymi efektami ubocznymi globalizacji. Nikt nie może zaprzeczyć, że Unia umacnia faktyczną suwerenność swoich państw członkowskich wobec możliwych nacisków ze świata zewnętrznego (np. na Polskę ze strony Rosji). Zresztą w UE nikt nam nie może kazać coś zrobić, na co wcześniej sami byśmy się nie zgodzili. Owszem, możemy się od tego „uwolnić”, ale jedynie poprzez wyjście z Unii, a nie arbitralne naruszanie suwerennych decyzji narodu dla doraźnych potrzeb czy korzyści władzy.

Obecna faza sporu toczonego przez władze RP z UE, w toku którego sięga się po argument suwerennościowy, dotyczy praworządności. Otóż członkostwo w UE wymaga spełnienia pewnych kryteriów ustrojowych, spośród których zasada praworządności, w tym niezawisłości sądownictwa, należy do centralnych. W sprawie praworządności Polska siedzi w unijnej „oślej ławce” już od 2016 roku. Zapewne pamiętamy okrzyki „suweren, suweren”, wznoszone w Sejmie przy okazji zmian dotyczących Trybunału Konstytucyjnego. To m.in. na tym tle różne organy UE i Rady Europy wszczyły wobec Polski dochodzenia, przyjmowane były krytycznie brzmiące rezolucje i raporty. Tym razem chodzi o związek pomiędzy przestrzeganiem praworządności a unijnym Funduszem Odbudowy. Wymóg przestrzegania w tym kontekście praworządności miałby według niektórych stanowić niedopuszczalne naruszenie suwerenności Polski.

Tenor polskich wypowiedzi w tej sprawie przypomina niestety to, co słyszeliśmy w przeszłości z ust przedstawicieli PRL, ZSRR, ChRL czy państw arabskich lub afrykańskich, oskarżanych w ONZ o naruszanie praw człowieka. Owszem, suwerenności trzeba strzec, ale w interesie Polski i Polaków, a nie jakiegokolwiek rządu, który zmieniając czy naruszając normy i zobowiązania międzynarodowe, chciałby sobie poprawić komfort sprawowania władzy.

Rodzimi adwokaci suwerenności odwołują się przy tym chętnie do tyleż wdzięcznego, co bałamutnego hasła „Europa ojczyzn”, błędnie przypisywanego prezydentowi Francji de Gaulle’owi, a także wiążącego je przez kolejne hasło – „powrotu do korzeni” – z inicjatorem powołania pierwszej Wspólnoty w 1950 roku – Robertem Schumanem. Przypomnijmy zatem, że prawdopodobnie jedynym przykładem realnie istniejącej „Europy ojczyzn” był okres międzywojenny z jego znanym końcem. Co się tyczy Schumana, to z jego słynnego przemówienia z 9 maja 1950 roku w Europie najczęściej cytuje się zdanie: „Europy wtedy nie było. Mieliśmy wojnę” – to o okresie poprzedzającym jego deklarację. W jego wizji Wspólnota miała być „pierwszym etapem Federacji Europejskiej”. Obecnie w UE europejskie ojczyzny mają się tak dobrze, jak nigdy w historii, poczynając od tego, że nie są na siłę rusyfikowane, germanizowane czy madziaryzowane. Suwerenne przed wojną państwa europejskie wyciągnęły właściwe wnioski z lekcji historii: aby utrzymać swą realną suwerenność, trzeba się nią mądrze dzielić z innymi, tworząc Wspólnotę Europejską. A to oznacza, porzucić dzikie, gminne rozumienie suwerenności jako władzy pozbawionej wszelkich ograniczeń. Taka sterylna suwerenność, według definicji z XVI czy XVII wieku, już od dawna nie istnieje, o czym zapominają ci w naszym kraju, którzy się do niej od pewnego czasu odwołują.

ROMAN KUŹNIAR  
Uniwersytet Warszawski

# Suwerenni czy ksenofobiczni?

Czy Polska naprawdę żyje historią? Odnoszę wrażenie, że ludzie pamiętają o kilku wydarzeniach propagowanych w wersjach często dyskusyjnych. Chyba szeroko podzielają wizję kraju ciemniejszego i walczącego o wolność. Do tak zsymbolizowanej historii często odwołują się politycy oraz ideolodzy. Jest to wygodne jako instrument skupiania wspólnoty wokół siebie. Także wobec szerokiego przekonania, że Polska była krzywdzona w dziejach, można przedstawić się jako obrońca dobrego imienia wspólnoty. Taka była w moim przekonaniu geneza nowelizacji ustawy o IPN-ie, czy sytuowanie dzieła Dalej jest noc wśród „różnego typu antypolskich szmatławców”.

Historia służyła również w dyskusjach poprzedzających referendum europejskie – czasem, z mojego punktu widzenia – sympatycznie, a czasem fatalnie. Już samo mówienie o „powrocie” do Europy, odwoływanie się do roli chrześcijaństwa jako jednoczącego kontynent, papieskie powiedzenie „od Unii do Unii”... zakładało istnienie silnego podłoża wspólnych dziejów. Podobnie Unia demonstrowała wątek wspólnej historii, zresztą nie tylko w relacjach z Europą Wschodnią. Szukano punktów wspólnych, zorganizowano międzynarodowe muzeum, nie przyjęto Turcji jako kraju muzułmańskiego mimo jej blisko stuletnich starań... Czasem odwołania do historii przyjmowały formę mówienia z naciskiem, że czasy się zmieniły (uścisk dłoni Mitteranda i Kohla na polu bitwy pod Verdun, uścisk Kohla i Mazowieckiego w Krzyżowej).

Nie szło to wszystko łatwo, czasem bywało naciągane. Wspólne dla Europy były przecież także wojny pomiędzy krajami – i to nie tylko te ostatnie, najlepiej pamiętane. Chrześcijaństwo dzieliło się, a wojny religijne też miały miejsce. Kontynent był od dawna wręcz cywilizacyjnie podzielony na Wschód i Zachód. Odmowa przyjęcia Turcji do UE była bardzo dyskusyjna – i w moim przekonaniu wzmocniła tamtejsze siły antydemokratyczne oraz przeciwnie Europie, chrześcijaństwu itd. W Polsce, mimo autorytetu Papieża, nie widzę Unii z Litwą jako bezapelacyjnie pozytywnej, no i w ogóle widzę wiele spraw dziejowych wartych nie tyle kultu, ile dyskusji. Niemniej jednak cały proces szukania dróg przynajmniej do wspólnej rozmowy o historii w ramach UE się posuwał. Nie w kierunku ustalenia jednej obowiązującej jej wersji – bowiem taka byłaby wręcz niepożądana – ale właśnie rozmowy, w której ważniejsze byłoby poznanie niż ambicje i separatystyczne dążenia poszczególnych krajów.

\*

Odwołania do historii pojawiły się w Polsce i w innych krajach kandydatów do UE także w ramach sprzeciwu wobec wstąpienia. Ich charakterystycznym wyrazem podczas kampanii przedreferendalnej był jeden z plakatów. Na znane pytanie zwolenników Unii „Jeżeli nie UNIA, to co?” zarysowany na nim biały orzeł odpowiadał: „POLSKA, głupcze!”.

Wynik referendum świadczył co najmniej o tym, że wielu Polaków sympatyzowało z postawą antyunijną – nawet jeśli oczywiście niekoniecznie w jej aż tak skrajnej wersji.

Schematy myślowe ludzi, a w tym traktowanie historii w wersji przez nich postrzeganej jako motywu przyjmowanej postawy, mają nadzwyczajną trwałość. Zatem ostrożnie – by nie stało ponownie pytanie „Jeżeli nie UNIA, to co?”. W dzisiejszym świecie odpowiedź „POLSKA, głupcze!” mogłaby być jeszcze mniej przekonująca niż wtedy.

Można reformować Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku tak, by dominował w nim „polski punkt widzenia”. Jednak to przyjęcie programu prof. Machciewicza otwierało pole do dialogu, na którym powinno zależeć nawet ksenofobom. Wręcz pokazanie, że hitleryzm, choć zbrojony przez Niemców, jako forma ustroju, a przynajmniej jako poważne zagrożenie niedobrą ewolucją, występował także w innych krajach..., że był nieszczęściem także dla Niemiec, choć oni to za późno zrozumieli... – otwierałoby lepsze pole do rozmowy niż poprawianie w tekstach przeznaczonych do druku słowa „hitlerowcy” na „Niemcy” – co się obecnie zdarza. Również na polach innych niż objęte przez UE warto by się zastanowić, czy zwiększać konflikt przez historię, czy ułatwiać kontakt. W oficjalnym dyskursie o Katyniu można było akcentować nieszczęście, jakim był stalinizm dla różnych narodów, także dla samych Rosjan. Wiem, rzecz jasna, iż Stalin miał własną politykę wobec Polski, a bolszewicy nie znosili „panskiej Polshi” (pomiędzy psy atamany, pomniat polskie pany, konarmiejskie nasze klinki). Akurat w Katyniu leżą jednak nie tylko rozstrzelani Polacy. Nie sądzę, by rozpatrywanie zbrodni w kategoriach wykończenia Polaków przez Rosjan było jedyną drogą oddania hołdu pomordowanym. Nigdy nie wspomina się dziś w Polsce, że prezydenci Jelcyn i Putin skłonili się wobec pamięci Katynia. Na obchody okrągłej rocznicy II wojny nie zaproszono Putina – zupełnie jak gdyby to nie Armia Czerwona weszła do Berlina. Naprawdę nie wybielał Putina. Obecny dyskurs nie prowadzi jednak do rozmowy z Rosjanami, a Rosja to nie tylko Putin. Mieszkańcy Leningradu bardziej niż Stalina pamiętają zbiorowe mogiły na cmentarzu z czasu oblężenia miasta. Byłoby dobrze, żeby pamiętali stalinowskie czystki, ale trudno od nich tego oczekiwać bez pamiętania o wojnie.

Nie mogę zaakceptować poglądu, że w refleksji nad dziejami w polskiej historiografii wypiera się tematykę niepożądaną – w interesie Zachodu, może wręcz w interesie Niemiec. Nie mogę przyjąć niedawnego określenia Centrum Badań nad Zagładą Żydów IFiS PAN jako opanowanego przez „wrogów Polski”.

Pod hasłami patriotyzmu można stanąć poza UE, a wyniki badań traktować jako chęć przerzucania odpowiedzialności za negatywy na Polskę. W ogóle można wejść na samotną skałę i machać do szukających podobnych skał, spychając przy tym odmiennie myślących w dół. Tylko długo się tak nie ustoi, a historycy, badający dzisiejszą rzeczywistość za sto lat, nie wystawią dobrej cenzurki stojącym. Odważę się to przewidzieć nawet na tak odległą przyszłość, gdyż mam nadzieję, że nowe elity nie zostaną jednak szybko wykształcone i wymienione – nawet z pomocą Kopernika, nawiasem mówiąc uczonego postępującego się językiem niemieckim na co dzień.

MARCIN KULA

Akademia Teatralna im. Aleksandra Zelwerowicza  
w Warszawie

PLATFORMA WYMIANY NAUKOWEJ PAU



WYDAWNICTWO PAU POLECA - [link](#)

# Komórki macierzyste i terapie komórkowe: fakty i mity

Komórki macierzyste istnieją i potrafią wiele. Od kilkudziesięciu lat w terapiach chorób krwi stosowane są przeszczepy szpiku kostnego i niekiedy krwi pępowinowej, zawierające krwiotwórcze komórki macierzyste. Modyfikacje genetyczne (terapia genowa) takich komórek pozwalają leczyć złożone niedobory odporności oraz ciężkie anemie. Rąbkowe komórki macierzyste, pobrane z oka i odpowiednio przygotowane, mogą zregenerować uszkodzoną rogówkę, a komórki macierzyste naskórka pomagają w leczeniu ciężkich oparzeń i niektórych dziedzicznych chorób skóry. Prowadzone są obiecujące badania eksperymentalne nad zastosowaniami innych komórek macierzystych. Ze względu na ich różnorodność oraz odmienne właściwości, kluczem do powodzenia danej terapii jest prawidłowy dobór komórek macierzystych, biorący pod uwagę zdolność różnicowania do wyspecjalizowanych, konkretnych komórek, których złe funkcjonowanie jest przyczyną choroby.

Z terminem „komórki macierzyste” związane są jednak także nieporozumienia. Informacje o terapiach komórkami macierzystymi są wszechobecne, oferując nadzieję ciężko chorym pacjentom oraz ich rodzinom. Lektura internetowych ogłoszeń może sugerować, że na każdy problem jest rozwiązanie, że nawet najcięższe choroby można leczyć za pomocą komórek macierzystych. Wystarczy tylko po nie sięgnąć, ale najpierw trzeba sięgnąć głęboko do portfela. Jednak dla wielu potrzebujących kwota kilkudziesięciu czy wręcz kilkaset tysięcy złotych jest niewyobrażalna. Wtedy trzeba zorganizować zbiórkę pod chwytającym za serce tytułem – ratowania życia ciężko chorego. Co jest prawdą, bo ci ludzie istotnie bardzo cierpią. Nie jest jednak prawdą to, co oferują reklamy takich terapii. Nie ma świętego Graala leczącego wszystkie choroby. Nie jest prawdą, że komórki wyizolowane np. z pępowiny (jej części zwanej galaretą Whartona) po podaniu do krwi dotrą do chorego narządu, że są w stanie leczyć tak różne zaburzenia i choroby, jak autyzm, porażenie mózgowie, utrata wzroku, stwardnienie zanikowe boczne, niewydolność serca i wiele innych. To przykłady z kilkudziesięciu chorób, na które pacjenci otrzymali zastrzyki z komórek „macierzystych” w komercyjnych klinikach.

Komórki macierzyste to komórki nieodróżniane, mające zdolność do regeneracji uszkodzonych tkanek i narządów. Ale należy podkreślić, że potencjał rozmaitych komórek macierzystych do różnicowania do komórek wyspecjalizowanych nie jest taki sam. Nie jest bowiem prawdą, wbrew częstemu przekonaniu, że każda, dowolna komórka macierzysta może utworzyć wiele typów komórek. Owszem, są takie komórki, zwane pluripotentnymi, ale ich bezpieczne zastosowanie w terapiach wymaga jeszcze wielu badań. Tymczasem największe nieporozumienie i niezrozumienie (także wśród naukowców i lekarzy) polega na przypisywaniu arbitralnie wybranym komórkom zdolności do leczenia wielu rodzajów chorób, których przyczyny są odmienne i jakże różne. W efekcie coraz bardziej rozbudzone są nadzieje związane ze stosowaniem dowolnych komórek macierzystych (czy też komórek tylko tak nazywanych). Komórek w powszechnym przekonaniu traktowanych jako panaceum na nieuleczalne dotychczas choroby.

Komórki macierzyste działają, gdy są dobrane do tkanki, którą mają zregenerować. Dlatego np. wspomniane rąbkowe komórki macierzyste, mimo iż regenerują rogówkę, nie mogą

leczyć utraty wzroku spowodowanego zaburzeniami funkcji komórek siatkówki – tylnej części oka. Nie pomogą w leczeniu ślepoty także komórki z pępowiny, oferowane jako odpłatne eksperymenty lecznicze. Nie leczą dziesiątków innych chorób czy zaburzeń rozwojowych, wymienianych przez prywatne instytucje.

Na liczne problemy związane z ofertami takich kosztownych zabiegów, a także na zagrożenia wynikające ze stosowania zbyt łagodnych kryteriów dopuszczania przez organy regulujące (w Polsce komisje bioetyczne) terapii eksperymentalnych zwracają uwagę ważne instytucje. Są wśród nich amerykańska Agencja ds. Żywności i Leków (FDA) oraz Komitet ds. Terapii Zaawansowanych Europejskiej Agencji Leków (CAT EMA), który w kwietniu ub. roku przestrzegał przed niepotwierdzonymi terapiami komórkowymi reklamowanymi jako leki na wiele poważnych schorzeń. W czerwcu 2020 r. ukazał się raport przygotowany przez europejskie akademie nauk, w tym PAN i akademie medyczne (EASAC-FEAM). Zwraca on uwagę na zagrożenia, jakie stwarzają „cudowne” leki i szybkie ścieżki ich zatwierdzania oraz narastający problem nieuregulowanych usług i produktów medycznych oferowanych przez prywatne kliniki. W Polsce przed takimi ofertami przestrzegało Polskie Towarzystwo Okulistyczne oraz kilkakrotnie Komitet Biotechnologii PAN. Zgłaszanych wątpliwości jest wiele – wymieńmy niektóre z nich.

Zastrzeżenia budzi nazywanie terapiami komórkami „macierzystymi” interwencji, w których komórki albo nie mają udowodnionych cech komórek macierzystych albo, jak w przypadku komórek krwiotwórczych z krwi pępowinowej, podaje się je w chorobach, w których ich zastosowanie nie ma przekonujących podstaw biomedycznych i w rzeczywistości zabiegi takie nie leczą (np. kolejne najnowsze publikacje pokazujące brak efektów w terapii autyzmu). Czy właściwe jest oferowanie komercyjnych zabiegów opierających się głównie na sugestii, że nazywane „macierzystymi” komórki, pochodzące od różnych genetycznie dawców, potrafią wywierać niesprecyzowany efekt odżywczy w tak bardzo różnych chorobach? Czy etyczne jest proponowanie potencjalnie ryzykownych zabiegów, gdy publikacje mające dowodzić ich skuteczności rodzą wiele zastrzeżeń? Czy uczciwe jest pobieranie od pacjentów często wysokiej zapłaty za usługi o wątpliwej skuteczności terapeutycznej? Wątpliwości prawne budzi ponadto masowa skala tych zabiegów, oferowanych jako „wyjątek szpitalny”, który powinien być wytworzony i stosowany dla konkretnego pacjenta.

Chciałoby się mieć nadzieję, że nad tymi pytaniami pochylą się odpowiednie instytucje, Naczelna Rada Lekarska, organy administracji rządowej. Czas na zdecydowane działania dla dobra pacjentów, dla ich ochrony przed kosztownymi i potencjalnie niebezpiecznymi złudzeniami.

JÓZEF DULAK

Uniwersytet Jagielloński

*W oparciu o teksty własne (Nauka PAN, nr 1 i 3/2020; Forum Akademickie 7–8/2020).*

*Oświadczam, iż nie mam konfliktu interesów – nie oferowałem i nie oferuję komercyjnie żadnych terapii komórkowych, w tym terapii opartych na komórkach macierzystych.*



## Emerytura i tenure

Według prawa amerykańskiego nie wolno kogokolwiek zwolnić z pracy z powodu wieku. To nie zależy od zawodu, więc dotyczy również profesorów na uniwersytecie, którzy mają „tenure”.

Nie dociekałem, jakie są generalne konsekwencje tej zasady, ale mam wrażenie, że u nas, w MIT, większość profesorów uważa, że nie jest to dobre prawo.

Wiele lat temu świetnie opisał sytuację Profesor Herman Feshbach, były szef wydziału fizyki. Cytuję z pamięci: *W dawnych czasach, nim to prawo było wprowadzone na naszej uczelni, gdy profesor dochodził do wieku emerytalnego, wszyscy płakali – jaka szkoda, że tak zdolny i aktywny człowiek musi już odejść. W rezultacie profesor czuł się ważny i ceniony. A dzisiaj, jeżeli profesor nie odchodzi po dojrzałości do wieku emerytalnego, wszyscy mówią: ale egoista! Przecież powinien zrobić miejsce dla młodych. Natomiast, jeżeli zdecyduje się odejść, to wszyscy myślą: najwyraźniej czuje się już stary i widzi, że nie nadaje się do pracy naukowej!*

Jak więc radzi sobie nasza uczelnia z tym problemem?

Sprawa jest trudna. Jeżeli profesor długo nie odchodzi, kierownikowi wydziału nie jest łatwo znaleźć sposobu, który by go do odejścia zachęcił. Może ewentualnie przydzielić mu najmniej ciekawe wykłady lub najmniej popularne funkcje administracyjne. Ale tu też często jest problem. Ktoś, kto nie chce odchodzić, to często ten sam, który do niczego się nie nadaje! Więc zazwyczaj taka presja nie jest używana.

Na szczęście, w Stanach emerytury na uniwersytetach są stosunkowo dobre, więc przynajmniej strona finansowa nie odgrywa istotnej roli w decyzji, czy przejść na emeryturę, czy nie.

Najbardziej skuteczne okazuje się stworzenie odpowiedniej atmosfery i takich warunków, by przejście na emeryturę było stosunkowo atrakcyjne.

Jak choćby na przykład w moim przypadku: zachowałem dalej moje dawne biuro, mam dostęp do studentów, mogę współpracować w kolaboracjach naukowych i jestem zapraszany na wszystkie zebrania wydziału z wyjątkiem tych, na których omawia się awans jakiegoś profesora na „tenure”. Jednym słowem, nie odczuwam za dużo odejścia, a do tego nie mam różnych nudnych i nieciekawych obowiązków.

Mam wrażenie, że większość profesorów przechodzi na emeryturę w wieku 72–76 lat.

Trzeba dodać, że często emeryci starają się o granty i je dostają, a uczelnia to popiera. Wreszcie, gdy znajdzie taka potrzeba, uczelnia może zatrudnić emeryta, ale jego pensja nie może przekraczać 49% ostatniego wynagrodzenia. Czasem, dla zachęty by przeszedł na emeryturę, ofiarują mu dodatkowe jednoroczne wynagrodzenie przy odejściu.

W rezultacie, w praktyce nie jest to u nas zbyt duży problem. Na wydziale mamy około 70 profesorów. Wydział ma kłopot może z dwoma lub trzema spośród nich.

To chyba wszystko, co mam do powiedzenia na ten temat.

WIT BUSZA  
MIT

Nasz korespondent we Francji, prof. Jacek Kubiak, nadesłał nam poniższy tekst. Okazuje się, że również tam dotarły wiadomości (plotki?) o nowym otwarciu w polskiej nauce.

Redakcja

\*

## Nowa dziedzina naukowa, *gaudeamus!*

Prawie już to mamy! Jedną z najważniejszych dziedzin nauki polskiej zostanie w końcu uhonorowana. Mniemanologia stosowana będzie dziedziną nauki! Na razie w Polsce, ale już niedługo będzie dziedziną światową. Promieniowanie naszego kraju, naszych świetnych mniemanologów stosowanych na cały świat będzie teraz zapewnione. Będą punkty za publikacje (i to duże, bo dziedzina godna!), będą liczne sloty, konferencje międzynarodowe, nowe ośrodki badawcze i, co najważniejsze, finansowanie z prawdziwego zdarzenia. Minister ogłosi urbi et orbi, że teraz stawiamy na mniemanologię stosowaną i na niej budować będziemy naszą naukę godną narodową. Twórcą mniemanologii stosowanej jest słynny prof. dr hab. Jan Tadeusz Stanisławski. Liczne dzieła poświęcone głównie problemowi wyższości Świąt Wielkiej Nocy

nad Świątami Bożego Narodzenia zapełniają półki polskich i zagranicznych bibliotek od lat 70. XX stulecia. Teraz zyskują one nowego blasku i przyniosą nam zasłużoną międzynarodową renomę godną XXI wieku.

Nie rozstrzygnięto jeszcze, gdzie zostanie ulokowane Centrum Badań Mniemanologicznych Stosowanych – CBMS. Aby zachować równy dystans między ośrodkiem toruńskim i łagiewnickim, proponuje się lokalizację w Zduńskiej Woli. Tamtędy również sam twórca mniemanologii stosowanej przejeżdżał pociągiem osobowym, jadąc z Łodzi Kaliskiej do Sieradza w roku 1976. Również termin ogłoszenia budowy CBMS nie może kolidować ze Świątami Wielkiej Nocy lub Świątami Bożego Narodzenia. Wygląda więc na to, że zostanie ogłoszony w najbliższe Boże Ciało.

STANISŁAW TADEUSZ JANOWSKI  
Instytut Mniemanologii Stosowanej  
im. Jana Tadeusza Stanisławskiego

PAUza Akademicka – [www.pauza.krakow.pl](http://www.pauza.krakow.pl) – tygodnik Polskiej Akademii Umiejętności i środowiska naukowego.

**Rada Redakcyjna:** Magdalena Bajer, Andrzej Białas, Janusz Limon, Ewa Lipska, Stanisław Rodziński, Piotr Sztompka, Marta Wyka, Jakub Zakrzewski.

**Redakcja:** Andrzej Białas – redaktor naczelny; Andrzej Borowski, Andrzej M. Kobos, Piotr Malecki, Marian Nowy – redaktorzy; Adam Korpak, Krzysztof Skórczewski – grafika; Ryszard Otręba – „Galeria PAUzy”; Anna Michalewicz – dyrektor administracyjny; Witold Brzoskowski, Monika Mentel – fotokład; Wydawnictwo PAU – konsultacje.

**Adres do korespondencji:** Polska Akademia Umiejętności, 31-016 Kraków, ul. Sławkowska 17; e-mail: [pauza@pau.krakow.pl](mailto:pauza@pau.krakow.pl)  
Oczekujemy na artykuły do 6 000 znaków (ze spacjami) i ilustracje w formacie JPEG o rozdzielczości 300 dpi.